

Tekst i zdjęcia: *Szymon Baron*

## Three peaks, czyli trzy dni w górach Wielkiej Brytanii (część 3)

*W poprzednich numerach „Co Słysać?” (CS 206 i 207) opisałem, skąd wziął się pomysł na zdobycie Three Peaks oraz jak zdobywaliśmy najwyższe szczyty: Walii – Snowdon i Anglii – Scafell Pike. Przed nami ostatnia część artykułu, opisująca wejście na najwyższy szczyt Szkocji, a zarazem i Wielkiej Brytanii – Ben Nevis...*

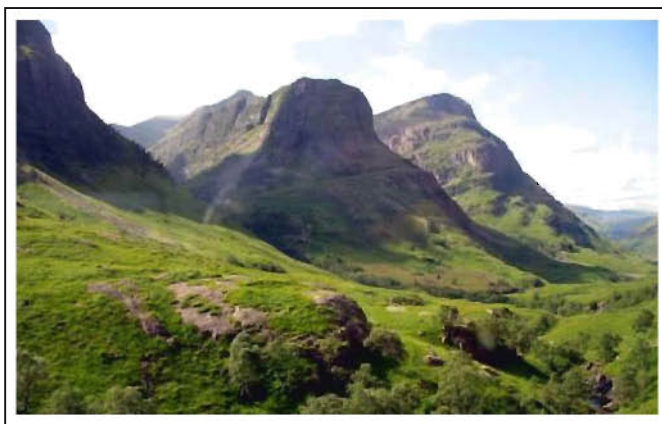
21 sierpnia 2006 r. - Ben Nevis (1344 m n.p.m.)

Na zaproszenie naszych podbeskidzkich koleżanek wybraliśmy na cztery dni do Edynburga – przepięknej stolicy równie przepięknej Szkocji. Planowaliśmy w tym czasie dokładnie zwiedzić Edynburg, lecz cóż by to była za wizyta w Szkocji dla takich miłośników gór, jak my, gdybyśmy nie wyskoczyli choć na chwilę w Grampiany. Prawdopodobnie byłaby ona niezbyt udana, więc już na drugi dzień pobytu zaplanowaliśmy wypad na najwyższy szczyt Wielkiej Brytanii - Ben Nevis.

Jeszcze pierwszego dnia odwiedziliśmy dworzec autobusowy na St Andrew Square, aby kupić bilety do Fortu William. Nie od razu zdecydowaliśmy się na ich zakup, bowiem ceny proponowane przez kasjerkę sięgały niemalże 100 funtów od osoby za bilet w dwie strony. Wyniosłoby to nas dość drogo, lecz po dokładniejszych konsultacjach, w dodatku bardziej odpowiadających naszym potrzebom (tj. wyjazd z samego rana i powrót ostatnim autobusem z przesiadką w Glasgow), zdecydowaliśmy się na kupno bilecików za 50 funtów, w dodatku od razu za dwie osoby. Niby wciąż nie były one zbyt tanie, lecz wizja ujrzenia i zdobycia najwyższego szczytu na Wyspach wzięła górę nad finansami. Zgodnie z planem następnego dnia mieliśmy stanąć w najwyższym punkcie Wielkiej Brytanii.

Skoro świt, czyli nieco przed dziewiątą, opuściliśmy gościnne mieszkanko dziewczyn z Podbeskidzia i pobiegliśmy na St. Andrew's Bus Station, by niemal w ostatniej chwili złapać autobus linii CityLink do Fortu William. Sześć z siedmiu prognoz pogody, jakie znaleźliśmy w internecie, jeszcze przed wyjazdem z Chatteris nie napawało nas zbyt optymizmem, lecz mimo tego ludziliśmy się, że zbytnio nie zmokniemy. Kursowy autobus pokonuje trasę z Edynburga do Fortu William w mniej więcej cztery godziny, co oznaczało, że do celu dotrzemy około 13.

Podróż przebiegała zgodnie z planem. Po drodze przystawaliśmy w różnych szkockich miasteczkach, również w Stirling, gdzie sześćdziesiąt lat temu, jako żołnierz Wojska Polskiego stacjonował mój dziadek. Z drugiej



malownicze krajobrazy Szkocji

strony, najpiękniejszym elementem podróży były zróżnicowane szkockie krajobrazy - piękne jeziora oraz góry, zarówno przypominające polskie Beskidy, jak i zbliżone wyglądem do skalistych Tatr. Ta mnogość widoków, łącząca z przepiękną, słoneczną pogodą, zupełnie nie odpowiadającą prognozom, powodowała, iż zupełnie nie w naszym zwyczaju nie przymknęliśmy oczu ani na moment - przez równe cztery godziny jazdy.

W końcu dojechaliśmy do Fortu William. Okazało się, że póki co sprawdza się ta siódma, najmniej pewna prognoza pogody, mówiąca o słonecznym dniu z przejściowym zachmurzeniem. Nie wiedzieliśmy, czy utrzyma się ona do wieczora, lecz cieszyliśmy się, że to najbardziej deszczowe miasto w Wielkiej Brytanii nie przywitano nas deszczowymi chmurami. Do wieczora zostało nam parę godzin, więc zamiast prosto na szlak ruszyliśmy na pocztę, aby kupić i powysłać widokówki do rodziny i znajomych.



Glen Nevis – tutaj kręcili Braveheart i Rob Roy

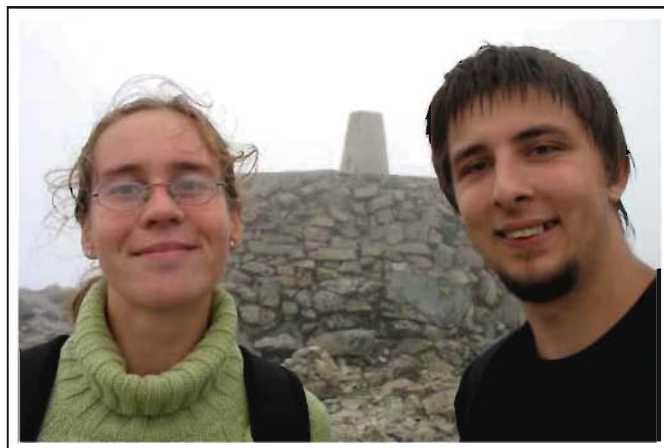
Okazało się, że odwiedzenie poczty, kupienie widokówek i znaczków zajęło nam prawie czterdzieści, jakże cennych minut. Ruszyliśmy więc w stronę doliny Glen Nevis, posługując się mapką z internetu. Wszystko przebiegało sprawnie i po trzydziestu minutach dotarliśmy na parking nieopodal Visitor Center, przy którym rozpoczyna się jeden ze szlaków na najwyższy szczyt Grampianów. Znaleźliśmy stoliczek, zjedliśmy śniadanie, przebraliśmy buty z miejskich na górskie i przez mostek ruszyliśmy na trasę.

Według tablicy informacyjnej znajdującej się tuż przy parkingu, trasa na szczyt, tam i z powrotem zajmuje od



6 do 9 godzin. Liczyliśmy, że informacje te podają czas równie orientacyjnie, jak polskie przewodniki i nie zrażeni brakiem czasu pomaszzerowaliśmy przed siebie.

Należy uczciwie przyznać, że tak szybko jeszcze nie wchodziliśmy na jakąkolwiek górę. Co prawda przystawaliśmy co jakiś czas, lecz samo tempo marszu było zabójcze. Pot lał się z nas strumieniami, a wszystko to robiliśmy tylko po to, aby zdążyć na ostatni wieczorny autobus do Edynburga. Po drodze podziwiliśmy paprocie, jarzębiny i przeróżne kwiaty



*Monika i ja na szczycie*

porastające zbocza. Trzeba stwierdzić, że krajobraz górski dużo bardziej nam odpowiada, niż ten płaski, fenlandzki w okolicy Chatteris, gdzie tymczasowo mieszkaliśmy i pracowaliśmy.

Dreptaliśmy szybko, trawersując górę Meall an t-Suidhe, by po półtorej godziny marszu dotrzeć na rozległą przełęcz, gdzie w pobliżu jeziora Lochan Meall an t-Suidhe spałaszowaliśmy po kanapce i bananie, popijając je wodą mineralną. Po tej krótkiej, bo aż pięciominutowej przerwie ruszyliśmy dalej, wciąż nie dając za wygraną ostatniemu kursowi do Edynburga. Po kolejnym kwadransie dotraliśmy do górskiego strumyka, w którym uzupełniliśmy zapasy wody.

Im wyżej się znajdowaliśmy, tym piękniejsze widoki roztaczały się przed naszymi oczami. Z jednej strony sięgaliśmy wzrokiem aż po Morze Irlandzkie, w końcu niezbyt odległe, z drugiej przepiękne pasma Grampianów. Co ciekawe, każdy kolejny plan przynosił z sobą inny typ gór - począwszy od zalesionych, poprzez pokryte poloninami, aż po skaliste wierzchy. Po prostu pięknie, a do tego pogoda ciągle nam dopisywała. Niestety, powyżej nas roztaczała się chmura pokrywająca wierzchołek.

Wspinając się coraz wyżej, szlak zmienił się z typowo beskidzkiego na raczej tatrzański. Pokrytą trawą ziemię zastąpiły różnej wielkości głazy. Czuliśmy, że jesteśmy coraz bliżej szczytu, lecz z drugiej strony ogarniał nas lęk, że możemy nie zdążyć na ostatni autobus. Zastanawialiśmy się, czy nie warto by było zawrócić, lecz po krótkiej naradzie doszliśmy do wniosku, że zaryzykujemy dalszą wspinaczkę, bowiem nie wiadomo, czy w przyszłości będzie nam dane jeszcze

raz znaleźć się w tej okolicy.

W końcu po niemal trzech godzinach morderczy dotarliśmy na podszczytowe plateau. We mgle, a właściwie chmurze pokonywaliśmy ostatnie kilkaset metrów do szczytu. Po lewej stronie wypatrzyliśmy dość niebezpieczną przepaść i w końcu o 18:30 stanęliśmy na szczycie. Nieopodal szczytu można podziwiać ruiny obserwatorium Sheltera oraz pomnik poświęcony poległym w czasie II wojny światowej. Jest to o tyle ciekawe, że w niemal każdym brytyjskim miasteczku znajdują się pomniki poświęcone poległym w czasie wspomnianej wojny.

Na szczycie spędziliśmy chwilę. Zrobiliśmy pamiątkowe zdjęcia w charakterystycznych punktach, zjedliśmy kanapki i oszacowaliśmy, że mamy jakąś godzinę, aby zdążyć na autobus. Niemalże niewykonalne, ale... do odważnych świat należy.

Zbiegaliśmy pół godziny i ledwie dotarliśmy do strumyka, w którym uprzednio nabieraliśmy wodę. Zrezygnowaliśmy z dalszej gonitwy, ludząc się, że może jednak pojedzie jeszcze jakiś autobus albo pociąg. Schodziliśmy normalnym tempem i na dole nie mogliśmy uwierzyć, że całe zejście - włączając w to półgodzinne zbieganie zajęło nam trzy godziny, a więc dokładnie tyle samo, co podejście. Całą trasę pokonaliśmy w sześć godzin, a więc w minimalnym czasie podanym na tablicy informacyjnej. Niestety, czasy nie są tu podane z taką niedokładnością, jak w Polsce.



*Ben Nevis Path – szlak na najwyższy szczyt Wielkiej Brytanii*

się do miasta. Tam okazało się, że nie mamy już żadnych szans, aby dostać się komunikacją publiczną do odległego o 150 mil Edynburga. W efekcie, z nerwów nie zwiedziliśmy nawet miasta, a w szczególności zabytkowego fortu, któremu miasto zawdzięcza swą nazwę.

Jako szczęśliwi zdobywcy najwyższego szczytu Wielkiej Brytanii mieliśmy do wyboru dwa wyjścia. Pierwszym było szukanie taniego B&B, drugim był autostop.



Spod Visitor Center do Fortu William dostaliśmy się autostopem z hinduską rodziną. Jak zapakowaliśmy się w dwójkę do samochodu, w którym już jechali rodzice z trójką dzieci – do dzisiaj pozostaje dla nas zagadką; ważne, że dzięki ich pomocy dostaliśmy

⇒

Nigdy jeszcze nie stopowaliśmy na Wyspach, więc z lekką obawą podszliśmy do tego przedsięwzięcia. Pomimo tego zaryzykowaliśmy.

Czterema autostopami, podczas których Monika udawała, że śpi, aby nie rozmawiać po angielsku, dojechaliśmy do Edynburga. W stolicy Szkocji zameldowaliśmy się zmęczeni, ale szczęśliwi o 1 w nocy. Przy okazji dowiedzieliśmy się, że autostop po angielsku to hitchhike. Człowiek uczy się całe życie...

Suma sumarum, przygód mieliśmy co niemiara, lecz zdobyliśmy Ben Nevisa. Przy okazji skompletowaliśmy też Three Peaks, stając już na najwyższych szczytach Walii, Anglii i Szkocji. Taki był nasz cel i udało nam się go osiągnąć, a Fort William - miasto, w którym roczna suma opadów jest największa w całym Królestwie, będziemy wspominać jako wyjątkowo słoneczne.

Podsumowując nasze górskie wrażenia muszę zwrócić uwagę, że choć szczyty górskie w Wielkiej Brytanii rzadko przekraczają granicę 1000 metrów nad poziomem morza, to ich względna wysokość jest równa bezwzględnej. Porównując wysokości opisywanych wierzchołków do polskich Tatr, wejście na Scafell Pike jest jak trasa z Kuźnic na Kasprowy Wierch, a drogę na Ben Nevisa można porównać do szlaku z Morskiego Oka na Rysy. Nie są to tak małe góry, jak mogłoby się wydać. Ponadto szlaki rzadko są oznaczone, a o oznaczeniach znanych nam z rodzimych tras można w ogóle zapomnieć. Patrząc z drugiej strony, nie ma tu jednak mowy o przypadkowych turystach, gdyż jakakolwiek zmiana pogody może znacznie ograniczyć orientację w tym, często niełatwym terenie. Do pozytywów można natomiast zaliczyć obecność wszędobylskich owiec, na które coraz ciężiej trafić w naszych Karpatach.

Cieszę się, że mieliśmy z Moniką okazję zobaczyć co nieco w Wielkiej Brytanii i szczerze polecam każdemu wędrowniaku po brytyjskich szlakach.

Tekst: *Włodzimierz Janusik*, zdjęcia: *Paweł Kosmala*

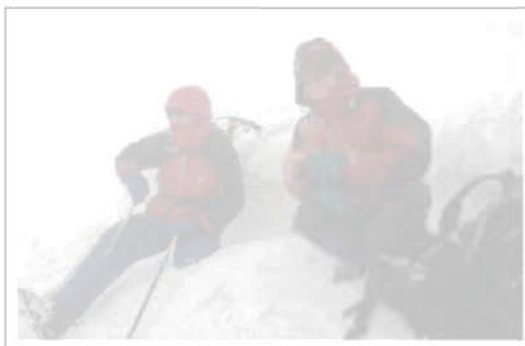
## Orkan Emma na Babiej Górze

Tegoroczne zimowe wejście na Babią Górę, tradycyjnie organizowane przez Oddział Sosnowiec, odbyło się w bardzo trudnych warunkach atmosferycznych. Informacje meteorologiczne zapowiadały nadejście huraganu, jednak znalazło się wielu śmialków, aby stawić czoło wyzwaniu natury. Gdy wychodziliśmy z najstarszej willi w Zawoi „Stanisława”, wiatr nie był taki silny, ale padał deszcz. Około 20 osób dotarło już w śniegu i podmuchach silnego wiatru na Markowe Szczawiny. Stare schronisko zostało rozebrane, a nowe dopiero się buduje. Mała goprówka nie wpuszcza do środka turystów. Po krótkim odpoczynku na małej werandzie, już tylko w kilkanaście osób poszliśmy dalej.



plac budowy na Markowych Szczawinach

Wichura rozszalała się dopiero na Przełęczy Brona. Wiatr przekraczał 100 km/godz., a śnieg siekł niemilosiermiem po twarzach. Szły również z nami panie, które co mniejsze, jak np. Nina nie wytrzymały naporu wiatru i często przyjmowały pozycję horyzontalną. W trzech grupach, przy miejscami zerowej widoczności, dotarliśmy jednak na szczyt. Trudno było robić zdjęcia, trzeba było mieć dużą odwagę aby zdjąć rękawiczki! Nawet słynny murek na szczycie nie dawał osłony przed wiatrem.



na szczycie Diablaka

Wieczorem odbyło się spotkanie, na którym prezes Oddziału w Sosnowcu, Paweł Kosmala, wręczył zdobywcom honorowe dyplomy.

W imprezie oprócz Sosnowca, reprezentowana była Łódź (Oddziały Łódzki i Karpacki), Ostrowiec Świętokrzyski i Radom (Oddział Akademicki).

Spotkanie zakończył koncert Barda Tomasza Wachnowskiego, a jego piosenka „Śniegowice” bardzo pasowała do zimowego wejścia na Babią Górę:

*„Śniegowice to taka kraina,  
takie miejsce na Ziemi,  
gdzie słońce dociera rzadko  
i niechętnie,  
ale opalenizna jest zawsze  
w modzie...”*

Do zobaczenia za rok, może przy lepszej pogodzie.



wieczorne spotkanie